Tobrukowi z pomocą

Wspomnienie Józefa Poniatowskiego, redaktora naczelnego „Orła Białego”, pisma 2 Korpusu gen. Wł. Andersa, opracowane przez jego zięcia Floriana Śmieję.

Florian Śmieja



Bitwa o Tobruk w 1941 r.

Polska

Brygada Karpacka w sile ok. pięciu tysięcy żołnierzy w dniach **18 do 25 sierpnia 1941 roku** popłynęła do **Tobruku**, by zluzować jego obrońców, głównie Australijczyków, w siedmiu konwojach spod aleksandryjskiej miejscowości El Amiriya w Egipcie.

W bazie pozostało kilkuset ludzi w tzw Legii Oficerskiej. Nie pojechali, gdyż brakowało im wyszkolenia bojowego, przeszkadzał wiek i stan zdrowia. Część z nich miała popłynąć kolejnym konwojem z Aleksandrii, więc dokładała wysiłku, by się zakwalifikować do wyjazdu, o którym, ponoć, tak było głośno, że całe miasto o tym wiedziało.

Wśród szykujących się do transportu znajdował się porucznik Józef Poniatowski, późniejszy redaktor andersowskiego tygodnika „Orła Białego" w Iranie i Włoszech. Jego niepublikowane zapiski mam pod ręką i zaglądam do nich, aby artykułowi przydać autentycznego kolorytu lokalnego.

Po wypłynięciu 25 października wieczorem z portu dodatkowy konwój nabrał szybkości na wysokości Sidi Barrani. Wojaż

najpierw uraczył żeglujących egzotycznym widowiskiem latających ryb, które Polakom wydawały się być ptakami.

Ale wnet potem skończyła się idylla, a zaczęły się nocne naloty niemieckich samolotów nurkujących. Nalotów tych było sporo i ta liczba zaczynała martwić, choć autor wspomnień próbuje je racjonalizować chłodną dedukcją przyrównując je do zapamiętanych z Polski ataków wrześniowych:

> Właściwie każdy poszczególny nalot nie był cięższym przeżyciem, niż bombardowanie w pociągu pod Czeremchą 6 września 1939 roku. Raczej przeciwnie, tam działo się to w dzień, bez artylerii, a więc prawie przy bezkarności napastników, bomby spadały bardzo blisko i niebezpieczeństwo było niewątpliwie większe. Nawet okoliczność, że tu się było na wodzie, o kilkadziesiąt km od lądu i obok szansy trafienia odłamkiem czy podmuchu miało się szanse utopienia, albo wylecenia w powietrze w razie trafienia w nasze torpedy czy miny głębinowe lub inną amunicję, której dostatek mieliśmy naokoło, nie równoważyła tamtych warunków. Jedna wszakże była poważna różnica: tamto trwało wszystkiego razem (trzy naloty po trzy samoloty) 15 minut, a to trzymało nerwy w napięciu ponad trzy godziny, nie licząc okresu przygotowawczego w godzinach popołudniowych.

Jeden z okrętów konwoju, stawiacz min „Letonia”, został trafiony przez bombę i stanął w płomieniach, eksplodowała następnie wieziona przezeń amunicja. Niszczyciel „Hero”, na którym była największa grupa Polaków i nasz świadek, podpłynął do niego i zabrał załogę, a jego dowódca nakazał wahającemu się kapitanowi feralnej jednostki opuszczenie jej i przejście na jego pokład.

Na domiar złego, mimo że byli już w pobliżu zbawiennego portu w Tobruku, ich okręt także ucierpiał jak miało się okazać, bo wstrząs, który odczuli w pewnym momencie to nie było żadne zderzenie z palącym się statkiem ale:

> wybuchem ciężkiej bomby, która nie trafiła okrętu lecz padła o kilka lub kilkanaście metrów. Wybuch trochę uszkodził środek okrętu, wytworzył szpary, którymi nalało się nieco wody, a które uszkodziło urządzenie elektryczne i wentylacje motorów. Dlatego właśnie światło zgasło i dlatego szybkość spadła z 30 do 13 węzłów. Zdaje się, że i urządzenie sterowe doznały szwanku. W tym stanie rzeczy Admiralicja słusznie zakazała kapitanowi wjazdu do Tobruku, od którego już byliśmy o jakie 40 km, a niektórzy widzieli błyski tamtejszej artylerii i bombardowanie portu. O ile bowiem nawet udałoby się nas wysadzić, statek prawdopodobnie musiałby zginąć w drodze powrotnej, bo

> świt zastałby go jeszcze na wodach libijskich.

Nastąpił więc ostrożny odwrót, by wykorzystać ciemności i znaleźć się w zasięgu samolotów sprzymierzonych. Pojawiły się też inne kontrtorpedowce, które eskortowaly poszkodowanych szczęśliwie do portu.

> Była niedziela, więc zbudowano na pokładzie ołtarz i nacz. kapelan ks. kan. Pietruszka odprawił Mszę św. przy czym nasz chór śpiewał, a jak się rozśpiewał to i po nabożeństwie śpiewał i świeckie pieśni ku podziwowi i zadowoleniu Anglików. Na ogół zapanowała wielka przyjaźń między nami, a załogą „Hero”i paru oficerami z „Latony”, którzy wyszli na pokład.

Innej już wyprawy do Tobruku nie podjęto, a wnet potem jego oblężenie zniesiono. Zdążył jeszcze walczących obrońców odwiedzić niespodziewanie gen. Władysław Sikorski, który później pojawił się także w Aleksandrii i na uroczystości jego powitania i defilady przybył również kapitan niszczyciela „Hero”.

O samym Sikorskim autor wspomnień pisze:

> ...z wiekiem stracił tę sprężystą postawę, która mogła pociągać przed kilkunastu laty, ani zaś rozkaz ani tym mniej przemówienie nie odbiegały niczym od przeciętności i raczej słabo były przystosowane do tego specyficznego audytorium. Takie już jest jednak nastawienie żołnierza, że wzrusza się samym faktem widzenia i słuchania Naczelnego Wodza i to jest oczywiście dobrze dla dyscypliny. To też nie umiejąc poddać się temu dodatniemu nastrojowi, byłem daleki od jego rozpraszania, przeciwnie, uważam, że jakkolwiek by się oceniało osobiście człowieka, jeśli nie ma się wpływu na zastąpienie go przez innego, należy dążyć by Naczelny Wódz miał jak największy autorytet.

Autor pamiętnika ogromnie żałował nieudanej wyprawy do Tobruku. Nie wiedział, że nim wojna się skończy, zawędruje jeszcze do Bagdadu, a także, że będzie oglądał wraz z Melchiorem Wańkowiczem dopiero co zdobyty przez polskich ułanów klasztor na Monte Cassino.

Nie mógł także przewidzieć, że wraz z Jerzym Giedroyciem zafasuje od rozgniewanego generała Andersa parę tygodni aresztu domowego za wydrukowanie Janowi Bielatowiczowi arykułu przyrównującemu obronę Tobruku do bitwy o Monte

Cassino.